

Wielka kariera „Pigmaliona“

„My fair lady“ Libretto Alan Jay Lerner. Muzyka: Frederick Loewe według sztuki G. B. Shawa „Pigmalion“. Przekład Antoni Marianowicz. Teksty piosenek: Janusz Minkiewicz. Teatr Komedia. Reżyser: Thomas Andrew, Jan Biczyski i Jagienka Zychówna. Scenogr. Krystyna Zachwatowicz i Kazimierz Wiśniak. Choreografia: Thomas Andrew. Przygotow. muzyczne: E. Pallasz.

BYWAJA utwory literackie o których można powiedzieć, że robią karierę. Do takich należy „Pigmalion“ jedna z licznych przecież znakomitych komedii G. B. Shawa, która od chwili jej stworzenia nie schodzi ze scen całego świata, bawiąc pokolenie za pokoleniem. Jak gdyby tego było mało, przed laty niespełna dziesięć komedia ta zjawiała się na scenie nowojorskiej w zmienionej postaci. Stała się dla dwu amerykańskich twórców kanwą do stworzenia wielkiego musicalu, który z miejsca „chwycił“. Dość powiedzieć, że w listopadzie roku 1958 zamawiano na Broadwayu bilety na... maj, a powodzenie trwało niezmiennie przez wiele lat na dziesiątkach scen całego świata.

Dalszym etapem kariery był film z Audrey Hepburn w roli Elizy, cieszący się również po dzień dzisiejszy powodzeniem.

Do nas stosunkowo późno dotarła owa adaptacja pod tytułem oryginału „My fair lady“, który w programie dowcipnie usiłuje przełożyć na polski

Janusz Minkiewicz. Teatr „Komedia“ nie dając się zastraszyć wielkimi trudnościami, jakie piętrzy przed teatrem ten spektakl, zrobił wszystko co mógł by pokazać go jak najbardziej atrakcyjnie.

Trudność zaczynała się już od przekładu, owego języka, najeżonego gwarowymi wyrażeniami angielskimi, którym trzeba było dać polskie odpowiedniki. Wybrnął z tego obronną ręką Antoni Marianowicz. Przekład piosenek dokonany przez Janusza Minkiewicza nie zatracił dowcipu oryginału, a nawet wzbogacił go o nowe motywy.

Ale to nie wszystkie trudności. Chodziło o zachowanie dowcipu shawowskiego, owych ostrych point, padających ze sceny co chwila. I to nie było łatwe, gdyż sama istota adaptacji rozwięta już nieco uroczą zwieżnością komedii Shawa. Na ogół i ta trudność została pokonana, choć chwilami, gdy intermedia taneczne i melodie piosenek powtarzały się zbyt długo ze szkoda dla pysznego dialogu, mimowoli przychodziło na myśl: co też powiedziałaby stary Shaw, gdyby zobaczył tak spreparowaną swoją wzorową pod względem proporcji budowy sztukę. Ale to już nie wina spektaklu w Komedii, tylko samej istoty adaptacji na musical.

Widowisko było na ogół w stylu amerykańskim. Miałam okazję oglądać „My fair lady“ na nowojorskim Broadwayu i mogę stwierdzić, że nasz spektakl niewiele się od tamtego różnił, gdy chodzi o ogólne zarysy. Nic dziwnego; jednym z reżyserów i twórcą choreografii jest przecież u nas Amerykanin Thomas Andrew. Jego zapewne zasługą są nad wyraz udane sceny, otwierające poszczególne odsłony, jak pierwsza przed teatrem, a następnie przed wycieczkami w Ascott, przed balami w ambasadzie i inne. Utrzymane w stylu fin-de-sięciowej epoki zarówno w realistycznej a jednocześnie nowoczesnej poetycznej dekoracji sęcesyjnej ulicy, jak wiernych historycznie, stylizowanych kostiumach (Krystyna Zachwatowicz i Kazimierz Wiśniak) tworzą pełne uroku „wejścia“ do właściwej akcji.

Amerykańskość widowiska nie stanęła jednak na przeszkodzie uwydatnieniu cech angielskich, w które ta sztuka przede wszystkim obfituje. Niektóre momenty, jak np. groteskowy ślub Alfreda Doolittle były wręcz dickensowskie.

Wykonawcy dwu głównych, jakże nietatwych ról, Barbara Rylska (Eliza) i Edmund Fetting (Prof. Higgins) wczuli się w styl widowiska. Rylska... w pierwszych scenach, gdy jest prymitywną kwaciarka, nie czuła się jeszcze najlepiej, potem jednak „rosła“ w miarę posuwania się akcji, a ostatnie liryczno-dramatyczne sceny wypadły bardzo ładnie. Świetnie też interpretowała piosenki. Fetting ustrzegł się tak łatwej w tej roli szarży. Był pełen swobody i doskonale eksponował pointy dowcipów. Pułkownikiem Pickeringiem był Cezary Jułski. Berio groteski trzymał w spektaklu Wojciech Ralewski. Oklaski przy otwartej scenie, otrzy mywał, zarówno za interpretację piosenek, jak za dialogi. Groteskowe epizody odtwarzała też przy huraganach śmiechu Helena Gruszecka. Miła pania Pearce grała przyjemnie Jagienką Zychówną. Panią Higgins zagrała, jak trzeba, z godnością, ale i z dowcipem Irena Ładosiówna. Przyjemnie było zobaczyć znowu na scenie świetną, przed wojenną artystkę filmową Jagę Borytę, w roli królowej na balu. Kazimierz Dembowski, Jerzy Tkaczyk tworzyli stylowe figury. Tadeusz Ross z wdziękiem śpiewał piosenkę zakochanego pod oknem Elizy.

Oddzielne słowa należą się znakomitemu wprost baletowi. Mimo strojów fin-de-sięciowych była to choreografia na wskroś nowoczesna i biorąca widza od pierwszej chwili w posiadanie.

Spektakl na ogół wybitnie udany. Wzróżymy mu długie miesiące powo-